



KATE GOLDBECK

You, Again



ENDORFINA



1

— Przepraszam! — Ari stoi na chodniku przed Muzeum Brooklińskim ze stopami rozstawionymi na szerokość ramion. — Wydaje mi się, że ktoś, kto czeka dziesięć minut na zimną kawę, która kosztuje sześć dolarów, ma czas, żeby porozmawiać ze mną o drugim co do wielkości siedlisku rysia w New Jersey.

Rozmowę zawsze najlepiej rozpocząć od prowokacji. Żadnej gadki typu: „Czy masz chwilę?”. Nikt w tym mieście „nie ma chwili”, żeby porozmawiać z wolontariuszką.

Wysoki mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych, drogich džinsach i ciemnym swetrze, nieco zgarbiony pod ciężarem dźwiganego plecaka, zwalnia, ale się nie zatrzymuje. Spogląda na jej kamizelkę odblaskową i segregator, po czym w ułamku sekundy zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd.

— Nie widzi pani, że rozmawiam? — warczy i stara się ją ominąć.

Wszystko pod kontrolą. Ari jest przyzwyczajona do ludzi udających rozmowę po to, żeby jej uniknąć. Robi krok w prawo i zagradza mu przejście. Potrzebuje jeszcze jednego datku, żeby wyrobić dzienną normę, więc Straszny Dryblas w Swetrze może dać jej dwadzieścia sekund na przedstawienie sytuacji rysiów.

— Mogę łyka? — pyta i wyciąga rękę po kubek z minimalistycznym logo Blue Bottle. — Cały dzień już tu sterczę. — Ten chwyt, którego nauczyła się od Gabe’a, kolegi na zasiłku, również zajmującego się agitacją, działa tylko w jakichś dwudziestu procentach przypadków, co i tak jest znakomitym rezultatem, biorąc pod uwagę, że chodzi o zwracanie ludziom głowy, czyli zajęcie, które nie jest ani szczególnie zabawne, ani opłacalne.

— Chyba cię pogięło! — Dryblas podnosi kubek, żeby nie mogła go dosięgnąć i przeciska się pomiędzy jadącymi samochodami na drugą stronę Wschodniej Alei, odwracając głowę i rzucając jej gniewne spojrzenie. Może chce się tylko upewnić, że nie idzie za nim.

Gdy Gabe opowiadał uczestnikom zajęć z improwizacji o „lukratywnych możliwościach”, jakie oferuje ProActivate, zastrzegł, że będą musieli liczyć się z oschłymi reakcjami przechodniów, brakiem kontaktu wzrokowego i całkowitym odrzuceniem.

— To dobre dla kogoś, kto zamierza zostać komikiem — dodał. — Ale kasa jest lepsza.

Każdy zarabia więcej od komika. Ale na scenie można zaliczyć klapę przed liczną widownią. To efektywne dziesięć

minut udręki. Na ulicy zaś jest to wyciąganie dłoni co pół minuty i otrzymywanie za każdym razem bardzo bolesnej rany ciętej.

Coś, coś... definicja obłądu.

Ari rzekomo przyjechała do Nowego Jorku, żeby zostać komiczką. Gdy poznała Gabe'a, jednego z liderów trupy komediowej, do której cztery miesiące wcześniej dołączyła, snuł opowieści o agentach od castingu, odwiedzających otwartą scenę, i nocnych spotkaniach z autorami „Daily Show”. Szybko stał się dla Ari bohaterem, w którym zaczęła się też trochę podkochiwać. Tym, o czym Gabe jednak nie wspomniał, był fakt, że większość tych spotkań odbywała się, gdy stał za kasą w barze niedaleko teatru.

Podczas powrotu do domu przemoczona mżawką dziewczyna rozgląda się jeszcze za kimś, od kogo mogłaby wyciągnąć jakiś datek. Kobieta z parasolką z promocji, pozwalająca sikać swojemu psu na klomb? Krępy mężczyzna z rudą brodą i w okularach w grubych oprawkach, który czeka przy drzwiach baru na Washington Avenue? Żadne z nich nie daje jej jednak nadziei. Zrezygnowana rusza więc w stronę domu.

Kiedy Ari odpowiedziała na ogłoszenie Natalie, szukającej kogoś, kto zechciałby podnająć „przytulny” pokój w „mieszkaniu koło Prospects Heights”, szybko zdała sobie sprawę, że pokona tę trasę na piechotę w ciągu dwudziestu pięciu minut.

— Ten pokój to właściwe klitka — wyjaśniła jej Natalie, gdy Ari przyszła go obejrzeć. — Ale właśnie wstawiłam tam podwyższone łóżko, pod które spokojnie wejdzie biurko.

Biurko nie weszło. Ale mieszkanie z Natalie okazało się o niebo lepsze niż poprzednie, w którym Ari spała na materacu w salonie kuzynki koleżanki. Szczególnie dziś wieczorem, kiedy Natalie spędza weekend w Hamptons i ma wrócić późno. Mieszkanie będzie cudownie puste, a to idealna okazja, aby Ari mogła pobawić się swoim najgłośniejszym wibratorem. Taki przynajmniej ma plan.

— Zgadnij, kto wyrobił normę, stojąc przy Whole Paycheck? — Gabe, chroniąc się pod markizą, żeby nie zmoknąć, stoi oparty o drzwi wejściowe domu, w którym mieszka Ari. Wygląda jak model z katalogu Eddie’ego Bauera albo ktoś, kto pozuje do zdjęć stockowych, z zadbanymi falowanymi włosami i błyszczącymi brązowymi oczami. — To było jak łowienie ryb w beczce. A co u ciebie? — Gabe odpycha się od ceglanej ściany, z tylnej kieszeni dżinsów wystaje mu kamizelka odblaskowa ProActivate. Zawsze może liczyć na hojność pań pchających wózek z dzieckiem i prowadzących psa na smyczy.

— Zabrakło mi jednego datku — odpowiada Ari, starając się wyciągnąć klucze z kieszeni.

— A to pech! — Chłopak trzyma w dłoni dysk Blu-ray z *Incepcją*. — Skończymy oglądać?

To słaby pretekst. Oglądają *Incepcję* od trzech tygodni, za każdym razem jakieś czternaście minut. Ostatnim razem przestali oglądać po wyjątkowo napalonej sesji gry „Seks, małżeństwo, śmierć” (Ari: Hardy, Watanabe, Gordon-Levitt. Gabe: Cotillard, Murphy, DiCaprio).

— Natalie nie ma w domu — mówi Ari, wkładając klucz do zamka. — Miałam zamiar...

— Super! — Gabe trzyma otwarte drzwi. — Później jestem umówiony w Boerum Hill. — Po wejściu do mieszkania natychmiast ściąga koszulę, nie czekając, aż Ari włoży dysk do odtwarzacza Natalie.

Ta relacja z Gabe'em jest wygodna. Chłopak jest wyluzowany, otwarty na nowe doświadczenia. Doskonale radzi sobie z rozpinaniem stanika jedną ręką. Oboje chcą seksu, ale nie zależy im na tradycyjnej relacji chłopak-dziewczyna. Jest pierwszym facetem, który nie uznaje za osobistą porażkę używania przez nią wibratora podczas seksu. I po całym dniu radzenia sobie z odmowami nagabywanych przechodniów dobrze jest czuć się „pożądaną”.

Gdy film znajduje się na 1:06:47, a na podłodze leży rozrzucona bielizna, trzy razy dzwoni domofon.

— Zamówiłaś jedzenie? — pyta Gabe, dysząc, po czym z powrotem pada na kanapę. — W sumie to bardzo chętnie zjadłbym teraz kanapkę.

— Jak miałabym to zrobić? — Ari podnosi się. — Trzecią ręką? — Domofon znowu dzwoni, najpierw dwa razy krótko, potem długo.

Dziewczyna zwleka się z łóżka i idzie chwiejnym krokiem do domofonu. Naciska guzik:

— Tak? — W odpowiedzi słyszy trzaski i zniekształcony niski głos: „jedzenie” i „Natalie”. — Dzwonek nie działa, już schodzę — mówi i szybko zakłada bezrękawnik. — Natalie zamawia makrobiotyczne posiłki — informuje Gabe'a, który

rozmawia już z kimś przez telefon. — To pewnie dostawca jedzenia. — Podnosi z dywanu jego bokserki, rozglądając się uważnie po podłodze. — Cholera, gdzie są moje gatki?

— Bielizna jest przereklamowana. — Gabe podnosi się z kanapy. — Wezmę prysznic.

Ari szybko wkłada jego bokserki, wsuwa stopy w tenisówki i zbiega po schodach po jedzenie. Kiedy jest już na dole, przez szybę w górnej części drzwi dostrzega wielką postać. Otwierając je, uświadamia sobie, że skądś zna tę osobę.

Straszny Dryblas w Swetrze stoi pod zadaszeniem, w rękę trzyma reklamówkę pełną warzyw, które wyglądają jak martwa natura z osiemnastowiecznego holenderskiego malarstwa. Jest blady i chudy — dwadzieścia kilka lat? — ma ciemne włosy i pociągłą, niesymetryczną twarz. Ale sprawia całkiem niezłe wrażenie. Na zmianę patrzy i odrywa wzrok od twarzy Ari, widocznej pomiędzy drzwiami a framugą.

— Tak? — Dziewczyna odchrząkuje, a mężczyzna wygląda na zdezorientowanego, milczy. — Chcesz mi opowiedzieć o naszym Panie Jezusie Chrystusie?

— Jestem Żydem — odpowiada w końcu i spogląda za jej ramię. — Mieszkasz z Natalie? — Pachnie drogą wodą kolońską o zapachu ogrodu botanicznego.

— Może — odpowiada Ari, unosząc brwi. — To jej bezglutenowe paleo?

— To dorsz smażony w oleju, z małżami, pomarańczą i chorizo — odpowiada, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. — Natalie nie mówiła, że przyjdę?

W tym momencie jakby na zawołanie odzywa się telefon Ari.

NAT 📱 : Możesz mi wyświadczyć wielką przysługę? Pomyliły mi się dni. Josh ma dzisiaj gotować obiad.

Kucharz. Zaraz powinien tam być z jedzeniem. Jadę wcześniejszym autobusem, ale i tak się spóźnię. Możesz go wpuścić? 😞 😞

Zajebicie!

To typowe zagranie Natalie, jej wszystko uchodzi na sucho, bo ma piękną cerę, niesamowity śmiech i Ari ma do niej słabość, a to zupełnie inne uczucie niż pożądanie fizyczne, jakie odczuwa w stosunku do Gabe'a. Po prostu nie potrafi powiedzieć jej „nie”.

— Zaraz, kim jesteś? — Ari trzyma telefon przyciśnięty do piersi, tak żeby mężczyzna nie widział ekranu.

— Nazywam się Josh. Jestem chłopakiem Natalie. — Nie brzmi to jak pytanie, to jasne stwierdzenie faktu.

— Nat nie ma chłopaka — rzuca Ari.

— Właśnie, że ma! — mówi z pewnością kogoś, kto nie ma co do tego żadnych wątpliwości. — Ja nim jestem.

W tym momencie, choć niełatwo to dostrzec, Josh widzi, że współlokatorka Natalie na słowo *chłopak* marszczy brew. A to, że potrafi dostrzegać szczegóły, które umykają innym, stanowi dla niego powód do dumy. Zgodnie z planem za osiem minut Natalie powinna sączyć kieliszek Sancerre, przyglądając się, jak Josh kroi pomarańcze nożem Kiritsuke marki Shun. Zamiast tego ma przed sobą obcą dziewczynę

z różowymi włosami, w męskiej bieliźnie i wyblakłym bezrękawniku z nadrukiem Obama HOPE.

— Natalie nie ma. Spóźni się — oświadcza Ari, nie otwierając szerzej drzwi. — Mogę włożyć jedzenie do lodówki. Niedaleko jest bar, tam możesz na nią poczekać.

Sekundy straconego czasu tykają w głowie Josha, nabierając natężenia. Stoi przy drzwiach z zakupami wartymi sto siedemdziesiąt dolarów i zastanawia się, czy nie lepiej było by porzucić plan i zadzwonić po ubera. A potem umówić się na inny wieczór, kiedy wszystko będzie do siebie pasować. Ale to by była porażka.

— Nie ma mowy! Na przygotowanie tego posiłku potrzeba pół godziny i około godziny na gotowanie. Muszę już teraz zacząć. No i pada deszcz.

Dzisiaj po musie cytrynowym Josh Kestenberg i Natalie Ferrer-Hodges przejdą z *chaotycznego randkowania* do *stabilnej relacji* — kropka. Wykrzyknik. Nie, kropka. W lepszym tonie.

— Jeśli wyświadczę ci tę przysługę i wpuszczę cię do środka...

— Przysługę?

— To zrekompensujesz się za wcześniejsze gburowate zachowanie i pomożesz mi wyrobić normę. — Usta Ari układają się w ledwo dostrzegalny uśmiech, ale w oczach go nie widać. Na lewym policzku pojawia się dołek. — Potrzebuję datku w wysokości czterdziestu dolarów. Może być kartą kredytową.

— Co ty bredzisz? — Taka sytuacja, by Josh nie nadążał za czymś takim myślenia, nie zdarza się zbyt często.

— Cieszę się, że w końcu zapytałeś! — odpowiada dziewczyna. — Dzięki wsparciu takich miłośników dzikiej natury jak ty Liga Ochrony Przyrody tworzy chronione siedlisko, gdzie rysie mogą swobodnie się poruszać...

— To ty? — Josh kładzie reklamówkę przy schodach.

— Niesamowite, co nie? — Ari uśmiecha się szeroko niczym kot z Cheshire. W jej uśmiechu nie ma ani cienia nieśmiałości.

— Wyłudzasz kasę? — Josh robi krok do przodu, patrząc na nią z góry. — To jakieś oszustwo?

— Tak, udaję, że mieszkam w różnych miejscach w Brooklynie, żeby w facetach moich współlokatorek wzbudzać poczucie winy i nakłaniać ich do regularnego przekazywania pieniędzy na cele charytatywne. — *Regularnego?* Super, zostanie na liście darczyńców do końca życia. — Masz ochotę dowiedzieć się czegoś o rysiach?

— Nie.

— Dziękuję za pomoc w budowaniu przyszłości, w której rysie mają szansę doskonale się rozwijać — recytuje z pamięci. Otwiera szerzej drzwi, pozwalając mu wejść do przedsionka, po czym oznajmia: — Wygląda to jak początek odcinka serialu *Prawo i porządek*, wpuszczenie obcego mężczyzny do mieszkania. Mógłbyś mnie związać kablem i ukraść nasze laptopy albo coś takiego. Ale teraz twoje nazwisko figuruje jako ostatnie na liście darczyńców, jeśli więc zaginę, będziesz głównym podejrzanym.

— Dziewczyna zatrzymuje się przy schodach, żeby złapać oddech. — Mam na imię Ari.

— Josh Kestenberga. — Jego dłoń drga, jakby wyczekiwała uścisku, ale udaje mu się ją powstrzymać. — Mam dużo pracy, więc sama będziesz musiała się związać kablem.

— Arianna Sloane — wtrąca dziewczyna, jakby dodanie nazwiska miało być jej poczytane za zasługę. — I nie strasz mnie miłym spędzaniem czasu. — Pokazuje na schody. — Ty pierwszy. Nie chcę, żebyś gapił się na mój tyłek przez całą drogę na trzecie piętro.

Josh przewraca oczami, podnosi siatkę i stawia stopy na schodach. Gdy ją mija, czuje zapach taniej marihuany, która przypomina mu marudnych kolegów i koleżanki z zajęć antropologii na Uniwersytecie Stanforda. Wchodzi po schodach po dwa stopnie naraz, żeby zostawić ją w tyle i uniemożliwić dalszą rozmowę, ale ona ciągle jest tuż za nim.

— Jeśli jesteś kucharzem, to czy nie powinienesz teraz być w pracy?

— Jestem szefem kuchni. Ostatnie dwa lata spędziłem w Europie. Wymyślam nowe przepisy. Dwukrotnie pracowałem w *Bon Appétit*. Niedawno wróciłem do Nowego Jorku.

— Nie przypominam sobie, żeby Natalie jadła coś poza *paleo* i szejkami Huel.

— Jeszcze nie jadła mojego jedzenia.

— Jak długo jesteście „razem”? Jesteś kucharzem...

— Szefem kuchni.

— I nigdy jej nic nie ugotowałeś? Nie wydaje ci się to trochę dziwne?

— Nie. — Przyśpiesza, jakby chciał zostawić oskarżenie z tyłu. *To dziwne?* — Jesteśmy razem od sześciu tygodni.

— Czy sześć tygodni wspólnego życia można nazwać relacją? Spotykałam się kiedyś z facetem, miał na imię Nico, chodziliśmy razem około roku i *nie był* moim chłopakiem. Wciąż mam jego numer w telefonie, są przy nim trzy emotikony bakłazana.

Josh milczy. Jego odpowiedzi stanowią dla niej zachętę do dalszej paplaniny, lepiej więc nic nie mówić. Jest też trochę zasapany.

— Jak ją nazwałeś w swoich kontaktach? — Ari nie daje za wygraną. — „Przyjaciółka”? Jest tam emotikon serca?

— Nie! — Mój Boże, ta kobieta pewnie wdaje się w rozmowy z taksówkarzami i kasjerami. — Nie potrzebuję emotikonów, żeby pamiętać o swoich relacjach.

Dlaczego tak trudno jest poznać interesujące samotne kobiety, a tak łatwo przyciągać osoby, które mają niezwykłą zdolność zwracania uwagi na szczegóły, których wolałyby nie ujawniać? Gdy docierają na trzecie piętro, Josh odwraca się i patrzy na Ari.

— Natalie nigdy o mnie nie wspominała? — pyta. W tonie jego głosu można wyczuć pretensję i zażenowanie.

— Niech pomyślę. — Ari trzyma w dłoni pęk kluczy i szuka tego odpowiedniego. — To ty jesteś tym facetem z ładną łazienką z podwójnymi główkami prysznicowymi? Nie? A może misterem września z zeszłorocznego kalendarza Babes of Bushwick? Nie wiem, co... — Ari napiera biodrem na drzwi.

Josh ignoruje jej dezorientujące pytania, to jasne, że się z niego naśmiewa. Wchodzi ostrożnie do salonu, omijając stertę butów przy drzwiach. Zawsze widywał Natalie u siebie, gdzie nie musiał się przejmować nieprzyjemnymi niespodziankami: blatem, który nie został dokładnie wytarty albo wrogo nastawionymi, choć gadatliwymi współlokatorami.

Kątem oka dostrzega kawałek materiału obszytego koronką, wystającego spod kanapy. Oczy Ari podążają za jego wzrokiem: *Aaa, to tu się schowały*. Zanim zdoła podnieść zagubioną bieliznę, otwierają się drzwi łazienki. Pojawia się w nich mężczyzna z obnażonym torsem, otoczony chmurą pary i śpiewa: „*Sprowadź go do dooomu! Sprowadź go do domu!*”, po czym przerywa niewybredną serenadę i kiwa głową na znak powitania.

— Cześć! — rzuca w stronę Josha, ale Ari nawet nie próbuje ich sobie przedstawić. — Oddasz mi bokserki? — pyta Gabe i dodaje: — W sumie to nie ma znaczenia. Muszę lecieć. — Mruczając pod nosem melodię niskim wibrato, naciąga przez głowę koszulkę. — Zadzwonisz za godzinę, w razie gdybym potrzebował pomocy?

— Okej, baw się dobrze! — odpowiada Ari, nie racząc nawet na niego spojrzeć. Przegląda swój segregator z materiałami Ligi Ochrony Przyrody.

Josh ze zdziwieniem obserwuje zachowanie faceta, który przed wyjściem nie całuje dziewczyny na pożegnanie. Gdy tylko drzwi się zamykają, Arianna podchodzi do niego z segregatorem i długopisem trzymanymi w dłoniach. On zaś

kładzie siatkę na podłodze i zapisuje numer swojej karty kredytowej, a wtedy Ari uroczyście obwieszcza:

— Tam jest kuchnia. Nie spal mieszkania.

Josh przechyla głowę i patrzy w stronę kuchni.

— No nie, elektryczna kuchenka?

Ari spogląda na stare urządzenie, które nie ma nawet okapu.

— Co ci się nie podoba?

— Nie ma kontroli temperatury, wyrafinowania, płomienia. Jedzenie jest albo zbyt gorące, albo zbyt zimne.

— Jestem pewna, że sobie poradzisz. — Wzrusza ramionami. — Wyobraź sobie, że bierzesz udział w tym konkursie kulinarnym, gdzie trzeba samemu rozpalić ogień.

Josh mruży oczy i zaczyna gmerać w siatce, wyjmując z niej jedzenie. Na winylowym blacie imitującym granit ledwo znajduje miejsce na wszystkie produkty i sprzęty, które ze sobą przyniósł. Gdy podnosi wzrok, jest zaskoczony widokiem współlokatorki Natalie, otwierającej lodówkę pokrytą magnesami. Miał nadzieję, że się ulotni.

— Ja też będę robić kolację — wyjaśnia Ari, schylając się, żeby wyciągnąć z zamrażarki opakowanie wegańskich kiełbasek kukurydzianych. — Gdy mówisz, można wyczuć u ciebie lekki akcent — stwierdza, kładąc na talerzu dwie kiełbaski. — Gdzie dorastałeś?

— W Upper West Side.

Dziewczyna w zamyśleniu zamyka drzwiczki mikrofal.

— Może coś jest ze mną nie tak, ale zawsze zazdrościłam ludziom tego dziwnego akcentu. Podoba mi się.

Josh mruga, nie wiedząc, jak przyjąć to wyznanie, trudno przecież nazwać je komplementem. Wyciąga więc z torby skrupulatnie złożoną kartkę z zapisanym przepisem, po czym na białej ścierece do naczyń kładzie klonową deskę do krojenia. Gdy wszystko leży już uporządkowane na blacie, może przystąpić do krojenia marchewek organicznych w identyczne słupki.

Pomimo ciasnoty przez kilka minut udaje im się nie wchodzić sobie w drogę. Kiedy marchewki wyglądają, jakby wyszły z małego tartaku, Josh kładzie na desce do krojenia dynię i sięga po tasak. Może się to wydawać przesadą, ale dynia ma bardzo twardą skórę i nie chciał się z nią za bardzo męczyć na oczach Natalie. Poza tym użycie tasaka dostarcza niemałej dozy dramatyzmu. Uderza nim w dynię tuż obok łodygi, nakłada ścierkę na grzbiet tasaka i naciska, by przeszedł przez miąższ.

— Nie powiedziałeś, że masz ze sobą tasak, jak wchodziłeś do mojego mieszkania — mówi Ari, wyciągając jedzenie z mikrofali i kładąc je na blacie. — Mogę spróbować?

Josh bierze oddech, jednak niezbyt głęboki, żeby nie wąchać kukurydzianych kiełbasek.

Automatyczna odpowiedź powinna oczywiście brzmieć: *nie*. Nie spodziewał się towarzystwa podczas przygotowywania jedzenia. Ale jeśli dałby jej tasak, co mogłoby się wydarzyć? Mogłaby go upuścić na podłogę. Stępić ostrze. Zmarnować dynię nieumiejętnym krojeniem. Może byłby zmuszony zademonstrować ruch kołyszący. Musiałaby blisko podejść.

To zdecydowanie zły pomysł!

Ku swojemu zaskoczeniu wskazuje jej jednak głową miejsce przed sobą.

— Stań tutaj. Chwyć rękojeść... *Nie tak.* W ten sposób — mówi, układając jej palce na rękojeści.

— Zawsze jesteś taki kategoryczny? — mruczy pod nosem Ari, gdy przecina tasakiem skórę dyni, po czym wciska go głębiej, wykorzystując ciężar swojego ciała. — Chyba się jednak do tego *nie* nadaję.

Josh z reguły nie pozwala innym kucharzom — nie wspominając o amatorach — korzystać ze swoich noży. Nie chce, by ktoś zostawiał ślady swoich brudnych palców na jego sprzętach kuchennych, używał szczypców zamiast łyżki albo dodawał szczyptę soli, gdy danie jest idealnie doprawione.

A mimo to... Sposób, w jaki Ari dotyka jego rzeczy, sprawia, że odczuwa przyjemny dreszcz na karku.

— Nigdy nie nauczyłam się gotować — usprawiedliwia się Arianna, krojąc dynię na kawałki różnej wielkości, które Josh będzie musiał za chwilę poprawić. Przynajmniej nie odcina sobie koniuszka palca. — Mieszkałam z babcią, a jej umiejętności kucharskie ograniczały się do korzystania z mikrofali. — Dziewczyna przechyla się do przodu za każdym razem, kiedy dociska ostrze, Josh jest prawie pewien, że nie ma na sobie stanika.

Odchrząkuje.

— Przyjechałaś więc do Nowego Jorku, żeby stać się ogniwem piramidy finansowej, która wykorzystuje studentów,

żeby promowali oszustwa pod przykrywką działań charytatywnych?

— Zamieszkałam tu, żeby zostać komiczką. — Josh postanawia nie wnikać w temat, obawiając się, że otrzyma zaproszenie na występy dla początkujących artystów. — Ale właściwie *jestem* świetną wolontariuszką. Potrafię znaleźć wspólny język z obcymi. — Podnosi wzrok znad deski. — Tylko teraz mam trudności.

Josh uważnie przygląda się jej twarzy: okrągłym, zaczerwienionym policzkom, spiczastej brodzie, dolnej wardze widocznie grubszej od górnej. Można w niej dostrzec zmieszanie, przy optymistycznej ocenie, albo załazek irytacji, gdyby miał być szczery. Zawsze był lepszy w kłótniach niż w flirtowaniu. Nie, żeby miał zamiar z nią flirtować.

Po chwili Ari odkłada tasak i popycha deskę w jego stronę. Josh oddycha z ulgą.

— Dzięki za lekcję. — Dziewczyna wyciera dłonie w ściereczkę i napełnia szklankę wodą z kranu. Josh stara się zapamiętać, żeby kupić jej dzbanek filtrujący. — Ale byłeś mi to winien po tym, jak mi przeszkodziłeś swoją wizytą.

— Ja *tobie* przeszkodziłem?

— Tak. — Ari wkłada butelkę musztardy pod pachę, po czym wraca do salonu i siada na kanapie. — Miałam ambitne plany na samotny wieczór.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, nie byłaś sama — milknie na chwilę. — Jeśli potrzebujesz prywatności... Możesz iść do swojego pokoju.

— Strasznie tam gorąco. Okno w moim pokoju jest zbyt małe, żeby umieścić tam wywietrznik — wyjaśnia i sięga po pilota. — Dlaczego zresztą miałabym gdziekolwiek iść? To moje mieszkanie.

— To nie jest mieszkanie Natalie? — Josh chwyta patelnię za rączkę. — Formalnie rzecz biorąc?

— Płacę połowę czynszu — odpowiada Ari. Jest zła, naciska na *play*, by kontynuować oglądanie filmu od momentu, do którego obejrzała go z Gabe'em, i macza kielbasę w musztardzie na talerzu.

Kilka tygodni temu zaczęła oglądać *The Grand Budapest Hotel*, gdy Natalie wróciła do domu z nocnego klubu, upita winem i niezbyt śpiąca. Ari udawała, że interesowała ją scenografia, a tymczasem wdychała subtelny zapach kosmetyków, nadających włosom Natalie połysk i sprawiających, że są miękkie w dotyku. Za każdym razem, kiedy jej współlokatorka się śmiała, Ari czuła jej udo tuż przy swoim. Jeśli wywoływanie u kogoś śmiechu jest najlepszym uczuciem na świecie, to robienie tego *przy jednoczesnym dotykaniu czyjś uda* jest... najlepszym uczuciem na świecie z niewielką domieszką ekstazy. Dotyk ręki był nawet przyjemniejszy niż orgazm, do którego doprowadziła ją Natalie dziesięć minut później. Prawie tak przyjemny.

Te „filmowe wieczory” odbyły się jeszcze dwa i pół razy, po czym dziewczyny poszły spać do swoich pokoi. Ari leżała w rozklekotanym łóżku z głupkowatym wyrazem twarzy, patrząc na błyszczące gwiazdy na suficie, jakie pozostawili po sobie wcześniejsi lokatorzy. Może udało jej się

znaleźć idealny związek seksualny: dość satysfakcjonujący i pozbawiony emocjonalnych zawirowań.

Do tej pory jednak nie spotkała jeszcze żadnego z chłopaków Natalie. Dlaczego więc jej współlokatorka przyznała automatycznie temu facetowi status „chłopaka”, pozostawiając ją w cieniu? Co sprawia, że on jest godny miłości (no *jak* to możliwe?), a Ari ma tylko udział w uciechach cielesnych?

Z kuchni dobiegał powtarzający się dźwięk ostrza uderzającego o deskę — równomierne, precyzyjne uderzenia, niczym słyszalne przypomnienie jego obecności w mieszkaniu. Jego założeń. Jego opinii.

— To jak to jest, że nigdy nawet nie przygotowałeś Natalie śniadania?

— Jemy w restauracjach — odpowiada Josh, pochylony nad deską. — Skąd to pytanie? Ty zawsze serwujesz swoim chłopakom Red Bulla i ciasteczka, gdy się zwlekają z łóżka?

Ari wyrzuca z siebie coś, co jednocześnie przypomina śmiech i parsknięcie.

— Zanim się obudzą, już dawno mnie nie ma.

Rytm uderzeń noża przypomina czkawkę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Po prostu wstajesz i wychodzisz?

— Lubię się budzić w swoim łóżku — wyjaśnia, pałaszując drugą kielbaskę. — Tak jest łatwiej.

— Aha! — Josh wraca do krojenia, przewracając teatralnie oczami. — Prawdziwa romantyczka!

— Uważasz, że spanie z obcymi jest romantyczne? — Ari podnosi się i idzie do kuchni, żeby włożyć talerz do zlewu. — Albo rano budzisz się w dziwnym miejscu, albo musisz wyrzucić kogoś z mieszkania. W każdym razie nie biorę udziału w takich zabawach. — Wyciera talerz z takim wigorem, że pozostawia na nim kilka rys. — To tylko rozrywka, która uzależnia kobiety od mężczyzn, jest im potrzebna do potwierdzenia ważności uczuć. — Może to stwierdzenie jest niepokojąco heteronormatywne, ale Josh też prawdopodobnie jest niepokojąco heteronormatywny.

Przygląda mu się, jak wkłada trochę masła do garnka na kuchence, a po dokładniejszym przyjrzeniu się jego twarzy dochodzi do wniosku, że stanowi ona wyzwanie dla fotografów: wystające czoło, słabo zarysowany podbródek, poważne ciemne oczy i długi nos. Jego profil mógłby zostać wyrzeźbiony w marmurze setki lat temu. Przystojny i surowy zarazem. Taki typ człowieka, którego spotyka się przypadkiem na ulicy i który pozostaje w pamięci po pięciu latach.

Ari nie ma tego czegoś — odróżniającej cechy. Ludzie patrzą na nią i ich wzrok szybko spoczywa na kimś bardziej interesującym. Nawet malowanie włosów na jaskrawy róż nie zmienia faktu, że ginie w tłumie. Na festiwalu w McCarren Park oszacowała, że średnio co piąta kobieta w Brooklynie ma różowe włosy.

— Wyciągnęłaś te wnioski na podstawie życiowych doświadczeń? — pyta Josh, obniżając temperaturę za pomocą pokrętki w okropnej kuchence elektrycznej. — Czy może czytałaś książki feministyczne?

— Zawsze jesteś taki protekcyjny?

— A ty zawsze taka naiwna? — Wciąż siedzi w kucki, więc gdy Ari sięga po ścierkę, blokuje mu dojście do kuchenki.

— Naiwna jest wiara w patriarchalny mit monogamii.

— Patriarchalny mit? — Josh chwytą ścierkę wiszącą na haczyku przykręconym do dolnych drzwiczek półki i rzuca ją w stronę dziewczyny. — Przesuń się albo spalę mój cenny garnek na tej badziewnej kuchence.

— Naprawdę wierzysz w te bajki o bratniej duszy, rozpowszechniane przez Hallmark i te kiczowate reklamy Kay Jewelers, w których mężczyzna zaskakuje kobietę pudełeczkiem z obrączką w środku, i to ma być jakieś wielkie osiągnięcie życiowe?

— Hallmark nie wymyślił bratniej duszy — wyjaśnia Josh. — Tylko ją skomercjalizował — dodaje, po czym kładzie pokrywkę na garnku z gotującą się wodą i odwraca się do Ari. — Jeśli chcesz kogoś obwiniać, miej pretensje do Platona.

Ari wyciera ręce w ścierkę, zastanawiając się, czy dać się sprowokować.

— Platona?

— Uczta? Mowa Arystofanesa?

— Odśwież mi pamięć. Chodziłam do państwowej szkoły w Arizonie.

Josh wyciąga rękę w stronę blatu, bierze kartkę z przepisem i odwraca ją na drugą, niezapisaną stronę. — Platon twierdził, że pierwotni ludzie byli okrągli, mieli cztery ręce i cztery nogi oraz twarz po obu stronach głowy. — Ari

podąży wzrokiem za długopisem, którym Josh nakreśla szkic przypominający Violet Beauregarde zamieniającą się w jagodę w filmie *Willy Wonka i fabryka czekolady*. Ale na tym rysunku widać stwora z dwiema głowami, ośmioma kończynami i parę gryzmołów w okolicy pasa.

— A to co? — pyta Ari, wskazując na gryzmoły.

Josh spogląda na kartkę.

— Genitalia.

Dziewczyna patrzy na rysunek, mrużąc oczy.

— O rany!

— To rysunek abstrakcyjny! — Josh pogrubia długopisem kilka linii. — Możliwe są tu różne kombinacje organów.

— Postępowa teoria. Nie myślałam, że ta historia pójdzie w tym kierunku.

— Naprawdę nigdy o tym nie słyszałaś? Mój tato mówił, że to była inspiracja dla czarno-białych ciasteczek.

— Tych pakowanych w folię, które można kupić w niektórych sklepach? Nigdy ich nie jadłam — wyznaje Ari, a Josh szybko podnosi głowę.

— Ale przecież mieszkasz w Nowym Jorku. To podstawowa znajomość lokalnej kultury.

— Mieszkam tu dopiero od czterech miesięcy!

— Jedno z zajęć w restauracji mojego ojca polegało na pokrywaniu ciasteczek lukrem. — Josh bierze głęboki oddech. — To ja byłem odpowiedzialny za to, żeby linie były proste. Nie zawsze się udawało.

— Mogłeś zjadać te niedoskonałe?

— Nigdy ich nie lubiłem. Są za słodkie. Smakują jak cukier. — Krzywi się, przypominając sobie mdlący, słodki zapach lukru.

— Twój tato jest właścicielem restauracji? — Ari przygląda się sprzętom kuchennym starannie ułożonym na blacie. — To on nauczył cię gotować?

— Mój tato nauczył mnie wyrafinowanej sztuki robienia kanapek z mięsem i jedzenia surówki z białej kapusty łyżeczką. — Cała kulinarna nauka ojca odbywała się w restauracji, gdzie zaczynał jako pomoc kelnera, później pomagał w przygotowywaniu jedzenia, pracował przy ruszcie, zajmował się krojeniem żywności. Ojciec nigdy nie pracował w innej restauracji. W domu prawie nie gotował, potrafił najwyżej otworzyć puszkę z zupą. — Nie jest kucharzem. Na ten tytuł można sobie zasłużyć tylko w prawdziwej kuchni. Nie u Brodskiego.

— Twój tato jest właścicielem restauracji Brodsky? — Twarz Ari ożywia się.

— Słyszałaś o niej?

— Jakże by inaczej, w końcu jest sławna. Ma niebieski neonowy znak?

Ojciec Josha, Danny, odziedziczył restaurację Brodsky w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku po swoim wujku w wyniku niepisanej umowy, że będzie kontynuował czterdziestoletnią tradycję. Nazwie Brodsky zwykle towarzyszą takie słowa jak „instytucja”, „klasyczna”, „widziana w takich filmach jak...”. W East Village, na Manhattanie — a może i w całym trzystanowym okręgu — nie

ma ani jednej osoby, która życzyłaby sobie jakichkolwiek zmian w restauracji Brodsky.

Z wyjątkiem Josha.

Josh klócił się z ojcem od chwili, kiedy był na tyle wysoki, by móc korzystać z kuchenki. W dzieciństwie spędzał tam całe godziny, prosząc, by dano mu jakieś zajęcie, podczas gdy jego ojciec smażył parówki albo mieszał ogromne ilości marynaty. Chłonał całą tajemną wiedzę ojca — „knedle ziemniaczane nie mogą być wodniste” — uczył się, jakie powinny być właściwe proporcje białka i żółtka w sałatce z jajek. Aż pewnego dnia ojciec Josha stwierdził, że jego syn jest już na tyle dorosły, by zacząć pracę z nożami i przy gorącym jedzeniu.

Element niebezpieczeństwa uwolnił coś w Joshu. Zaczął sam gotować, eksperymentował z nowymi technikami, opanowując trudne przepisy, a na szesnaste urodziny poprosił o *Modernist Cuisine*. Gdy jego młodsza siostra, Briar, nie chciała jeść wątróbki, Josh przygotowywał jej do szkoły kanapki z warzywami. (Był to doskonały sposób na opanowanie sztuki krojenia nożem). Miał mnóstwo pomysłów — konkretnie były to pomysły, które miały na celu „poprawę” klasycznych dań w restauracji ojca. Czy nie można by dodać podsmażonego pora do knedli ziemniaczanych? Trochę papryki w proszku do sałatki z jajek? Reakcja Danny’ego za każdym razem była taka sama: wskazywał na podniszczony, ręcznie malowany znak, który wisiał nad drzwiami Brodskiego od lat pięćdziesiątych — *Niezapomniane jedzenie*.

„Jedzenie, które łatwo zapomnieć”, mruzczał pod nosem Josh. I przez kilka lat rzeczywiście chciał zapomnieć. Zamiast spędzać popołudnia w restauracji, uczęszczał na dodatkowe zajęcia na uniwerku. Brał udział w olimpiadach matematycznych, symulowanych dyskusjach dyplomatów ONZ i klubach dyskusyjnych. Ojciec i syn właściwie ze sobą nie rozmawiali, z wyjątkiem rzadkich sytuacji, gdy znajdowali się w tym samym miejscu o tej samej porze.

Ale na trzecim roku ekonomii na Uniwersytecie Stanfor-da Josh zaszalał w restauracji French Laundry. Jakaś ukryta pasja rozpałała się w nim tego wieczora, gdy zanurzył łyżeczkę w puszystym kremie z jajek. Danie prezentowało się znakomicie, w precyzyjnie wyciętej skorupce, a szczypiorek dodawał smakowi ostrości. Nie było to jedynie jedzenie, ale doznanie zmysłowe, oferujące zupełnie inne możliwości niż słona zapiekana wołowina ojca.

Kiedy Josh oznajmił, że zamierza rzucić studia i zapisać się do Instytutu Kulinarnego, Danny pokręcił głową w ten specyficzny sposób, jak to robią rozczarowani ojcowie. „Chcesz płacić tysiące dolarów, żeby ktoś nauczył cię, jak pokroić cebulę? — wymamrotał.

Matka Josha, Abby, obiecała, że zapłaci za kurs syna, mając cichą nadzieję, że Josh pewnego dnia wykorzysta swoją wiedzę, żeby prowadzić restaurację po ojcu. Ale Josh nie chciał być dziedzicem imperium wołowiny: miał znacznie ambitniejsze plany. Po ukończeniu kursu udał się do Europy, gdzie pracował w najlepszych restauracjach. Kiedy

zaś wrócił do Nowego Jorku, nie rozmawiał z ojcem. Abby pełniła rolę pośrednika.

— Istoty ludzkie z dwiema twarzami były tak silne fizycznie — opowiada dalej Josh — że stały się zagrożeniem dla bogów. Więc Zeus przeciął je na pół. — Rysuje krechę przecinającą człowieka. — Od tej pory poruszają się na dwóch nogach, zdezorientowani i obłąkani, starają się połączyć z brakującą połową.

— Bratnia dusza? — Ari pochyla się i kładzie łokieć na blacie.

— Dokładnie tak! — przytakuje Josh i przerzuca ścierkę przez ramię.

Przez krótką chwilę, w podnieceniu wywołanym jedno-myślnością, Ari dostrzega, dlaczego Josh może się podobać Natalie. Jego głos jest dużo przyjemniejszy, gdy opowiada jakąś historię, zamiast się kłócić. I jest coś niezwykle pociągającego w mężczyźnie ze ścierką przerzuconą przez ramię i z podwiniętymi rękawami.

— To dość przygnębiające — mówi Ari, przyglądając się grubej kresce. — Nic dziwnego, że Hallmark chciał przedstawić ten koncept w formie komedii romantycznej z Candace Cameron w roli głównej.

Twarz Josha posępnieje. On zaś wyprostowuje się, co sprawia, że Ari czuje się niższa, niż jest w rzeczywistości.

— Bratnia dusza daje ci największe z możliwych poczucie przynależności — mówi z przekonaniem. — Leczy ranę egzystencjalną. Na tym opiera się współczesna miłość.

Pewna siebie komiczka, która boi się zaangażowania. Perfekcjonista kucharz marzący o wielkiej miłości.

**Jedno przypadkowe spotkanie po latach
— i historia, której nikt się nie spodziewał.**

Ari i Josh to totalne przeciwieństwa. Ona żyje chwilą, unika zobowiązań i wymyka się z cudzych łóżek, zanim zrobi się widno. On planuje przyszłość i szuka tej jedynej, dla której mógłby przygotowywać idealne śniadania w swojej nieskazitelnej kuchni. Gdy poznają się po raz pierwszy, od razu się nie znoszą. I mają ku temu dobry powód — śpiąją z tą samą kobietą...

Lata później spotykają się znowu. Oboje po zawodach miłosnych, po przejściach, z poranionym ego. Tym razem coś się jednak zmienia. Zamiast nienawiści pojawia się... przyjaźń. Taka prawdziwa — z nocnymi maratonami Netflixa, wspólnym przeglądaniem randkowych profili i ciętymi ripostami. Bez zobowiązań, bez korzyści, bez oczekiwań.

Ale czy naprawdę uda się utrzymać te granice, kiedy pojawi się chemia? Co zrobić, jeśli serce mówi jedno, a rozum podpowiada drugie?

W książce znajdują się opisy scen erotycznych.




ENDORFINA

ISBN 978-83-8231-557-8



9 788382 315578

MT25006E
Cena: 59,90 zł



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina